

DODATEK MIESIĘCZNY DO «POLAKA»

Supplément mensuel de Polak

SKARBIEC



n: 1

PARYŻ

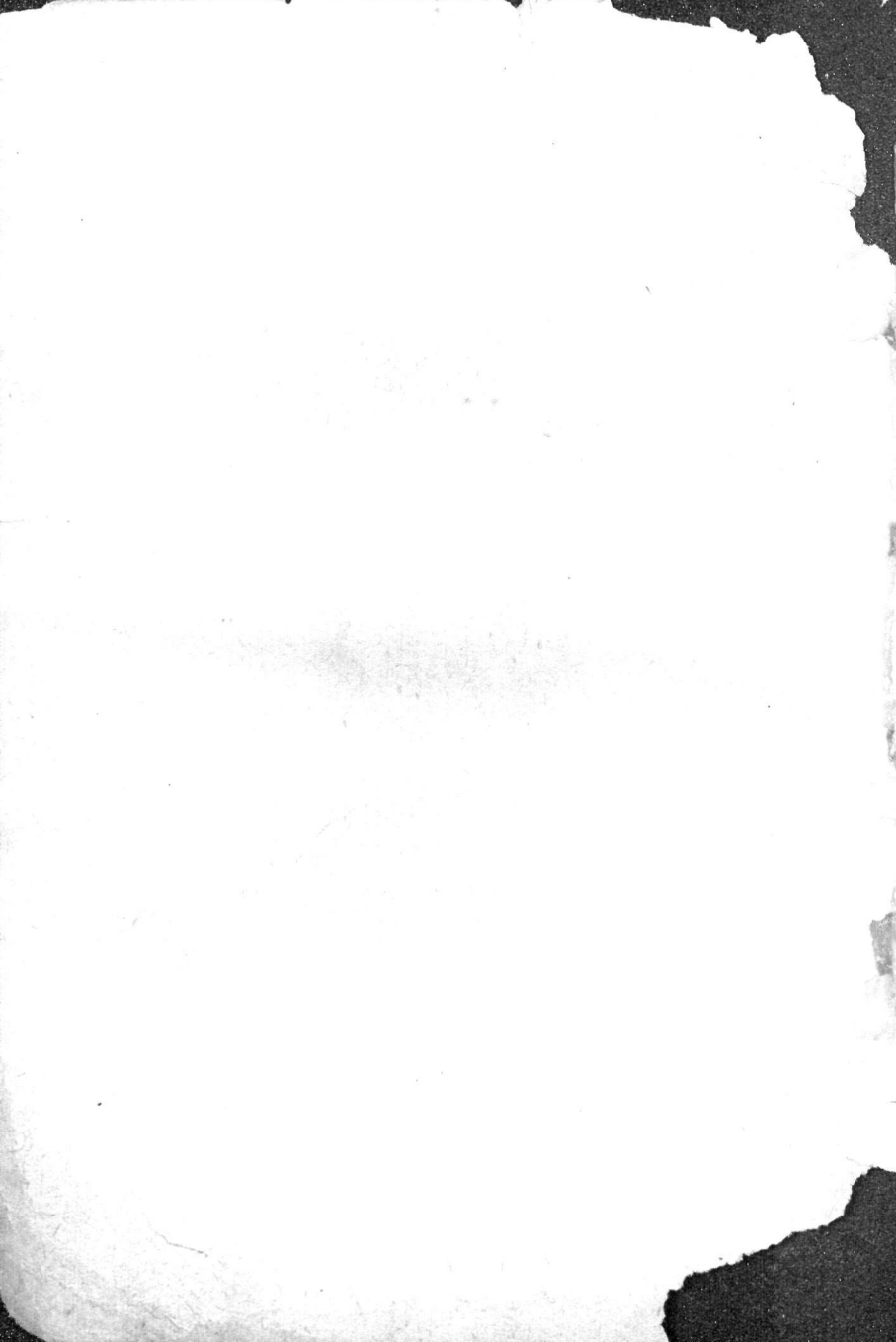
Maj 1918 r.

B.D.I.C.



21 00064942

385
80P
i Administracja; Paryż, 11-bis, Avenue Kléber



DODATEK MIESIĘCZNY DO «POLAKA»



SKARBIEC

PARYŻ

Maj 1918 r.

Redakcja i Administracja: Paryż, 11-bis, Avenue Kléber

1881

Pod znakiem Trzeciego Maja

Przystępując do wydawnictwa « Skarbca », mamy na celu zaspokojenie koniecznej potrzeby, jaką dla każdego człowieka jest obcowanie z myślą własnego narodu, zawartą w utworach wielkich mistrzów słowa. Z każdym dniem wzrasta liczba Polaków we Francji, coraz większe powstają ich skupienia, brak więc polskich księzek coraz bardziej staje się dotkliwy. Temu to brakowi pragnie « Skarbiec » choć w części zaradzić.

Pierwszy zeszyt « Skarbca » ukazuje się w rocznicę uchwalenia przez Sejm Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wiekopomnej Konstytucji 3 maja 1791 r. W poczuciu wielkości dokonanego dzieła ten sam Sejm uchwalił również, że rocznica Konstytucji obchodzona będzie, jako święto narodowe, póki istnieć będzie Naród. Polska upadła, jako państwo niepodległe, kości tworców Konstytucji Majowej dawno w proch się rozsypały, a jednak dzień Trzeciego Maja pozostał świętem narodowym, i święcony jest rok rocznie wszędzie, gdzie polska brzmi mowa. Przed stu dwudziestu laty obchodził rocznicę Majową Dąbrowski ze swemi Legjonami w Rzymie; podobnie dziś święci ją żołnierz polski, gdziekolwiek go losy

rzuciły: w kraju i na obczyźnie, w szeregach rodaków we Francji, Ameryce, w obozach jeńców wojennych... Razem z nimi święci dzień ten Kościół w Polsce, Akademia, Uniwersytety i szkoły ludowe, miasto i wieś — wszyscy łączą się w tym dniu by hołd złożyć wielkiej przeszłości i dać świadectwo niezłamanej wierze w wielką, jasną przyszłość Narodu. Jest to święto przebaczenia uraz i święto miłości, obejmującej przeszłe i przyszłe pokolenia, radosne święto Odrodzenia narodowego.

Dlaczego Konstytucja 3 Maja jest tak ogromnej miary wydarzeniem w dziejach Polski?

Po długim okresie świetności i chwały nastąpił dla Polski okres osłabienia i upadku. Rozmiłowany w swobodach Polak, który jako « orzeł pod swoim królem obranym na wolności bujał », coraz więcej myślał o tem, by żadnej cząsteczki swojej wolności nie utracić, a coraz mniej o tem, jaka stąd szkoda dla Ojczyzny wynikała. Osłabiono rząd skrepowano króla, nie chciano zasilić skarbu ani pomnożyć wojska, bo się obawiano, że się to wzmocnienie władzy państwowej przeciwko « złotej wolności » obróci. Nie tylko nie chciał Polak ulegać silnemu rządowi, ale mniejszość nie chciała ulegać większości: stąd na Sejmie, gdy jeden poseł imieniem swego województwa uchwale się sprzeciwiał, nie mógł Sejm nic zdziałać i rozejść się musiał by « złotej wolności » owego województwa nie naruszyć... Korzystali z tego stanu Rzeczypospolitej sąsiedzi i intrygami, przekupstwami pogorszali świadomie i umyślnie ten stan rzeczy, bo wiedzieli, jaką korzyść ze słabości i upadku Polski wyciągnąć będą mogli. Każdy obiór króla przynosił nowe rozbitcie na partje, nowe kłótnie,

i nowe osłabienie Państwa. Sąsiednie mocarstwa, miały potężne wojska, zasobne skarby, silne, samowładne rządy, a wśród nich Polska bezbronna, słaba, szarpana niezgodą wewnętrzną i myśląca tylko o wolności, nie widziała nieuchronnie grożącej jej zguby. Przenikliwsze, bystrzejsze umysły rozumiały niebezpieczeństwo, ale na wszystkie ostrzeżenia Naród był głuchy.

Aż przyszedł czas i otrzeźwił upojone wolnością głowy. Potężni sąsiedzi nie zadawali się już przemarszami i postojami swych armji na ziemiach polskich, chwytaniem ludzi do wojska, grabieniem żywności i paszy, gospodarowaniem w Polsce i narzucaniem jej swych rozkazów. Nastąpił pierwszy rozbiór Polski (1772). I oto ten okres największego upadku Rzplitej stał się jednocześnie początkiem odrodzenia.

Występuje cały szereg wybitnych ludzi, gorących patriotów, którzy piórem i słowem pracują nad przeobrażeniem stosunków, uświadamiają społeczeństwo, wzywają do zgodnej, a wytężonej pracy dla dobra Ojczyzny. W ciągu dwudziestu lat wrzała ta praca u podstaw i wydała prawdziwie błogosławione owoce. Bo w Polsce nie było samowładztwa i nie można było przeprowadzać naprawy państwowej jednym pociągnięciem pióra, jednym ukazem, jak w Rosji, Prusach lub Austrii... W Polsce musieli się na naprawę Rzeczypospolitej wszyscy zgodzić, a więc musieli wszyscy ich potrzebę zrozumieć, musieli się wszyscy w duszach swych przeobrazić, stać się lepszymi, mędrszymi... I to odrodzenie się dokonało. Naród wyrzekł się dawnych wad i błędów, zrzekł się swej nieskrępowanej wolności i swych przywile-

jów, zerwał z przesądami i zgubnemi nałogami, a jednym potężnym wysiłkiem woli podniósł się tak wysoko, że dzieło 3-go Maja do dziś dnia przyświeca nam, jak ów słup ognisty Mojżesza, i za wolą Bożą prowadzi nas w ciemnościach.

Dnia 3-go Maja 1791 r. Sejm Wielki, w potrójnej liczbie posłów zebrany, uchwalił wśród uniesienia radości nową Konstytucję polską, która już wówczas wzbudziła podziw w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Przedewszystkiem zaczęło zasypywać przepaść, która w owych czasach w całej Europie dzieliła ludzi na stany. Mieszczanom otwarto dostęp szeroki do wojska, do urzędów, do ziemi i do szlachectwa; dano miastom głos na Sejmach, przywrócono ich samorząd. Włościan wzięto pod opiekę prawa, zalecono przeprowadzić oczynszowanie w ten sposób, aby po pewnym czasie mogli bez trudności naturalną drogą stać się wolnymi właścicielami gruntów, na których mieszkali.

Nie mógł Sejm odrazu znieść różnic stanowych, ale już wszedł nieodwołalnie na drogę, która bardzo prędko byłaby doprowadziła Polskę do zupełnej równości «współobywateli, wolnych, równych Polaków!»

Zniesiono osławione «veto» (nie pozwalam); odtąd wszystkie uchwały sejmowe zapadać miały większością głosów, mniejszość winna była ustąpić zdaniu większości. Zabroniono konfederacji, które życie kraju zaburzały. Zmieniono obiór króla i wprowadzono monarchję dziedziczną, usuwając w ten sposób jedną z największych okazji do intryg mocarstw sąsiednich. Zreorganizowano rząd, tworząc «Straż Praw» czyli radę ministrów. Przedtem jeszcze zosta-

ła utworzona «Komisja Edukacji Narodowej», pier-B.D.I.C
wsze na świecie ministerjum oświaty.

Niepodobna w tym krótkim zarysie wyliczyć wszystkich zbawiennych przeobrażeń w ustroju państwa polskiego, dokonanych przez Konstytucję Trzeciego Maja. Wystarczy powiedzieć, że potrafiła ona pogodzić ład i silny rząd z prawdziwą wolnością; że potrafiła stopić w jedną całość wszystko, co mieliśmy najlepszego w naszym dorobku dziejowym z tem, co najlepszego można było znaleźć u obcych; że nie narzucała nic gwałtem, ale do wszystkiego doszła przekonaniem, zgodą, wyrzeczeniem się własnych korzyści i własnego zdania nawet, jeżeli to dla dobra Ojczyzny było potrzebne. Ale największa chwala Konstytucji Trzeciego Maja w tem, że dokonała ona prawdziwego zjednoczenia oddawna rozdartej rodziny narodowej. Zniesiono wszystkie odrębności między Litwą i Koroną, a w ten sposób dokończono dzieła unji, które rozpoczęte jeszcze w r. 1385, dojrzewało przez czterysta lat, wiążąc coraz silniej serdecznymi węzłami dwa bratnie narody. Zespoliły się w uczuciu wzajemnej miłości wszystkie stany.

Konstytucja Trzeciego Maja trwała krótko. Przeważone odrodzeniem Polski ościenne mocarstwa nie czekały, aż przeobrażona moralnie Ojczyzna nasza wzmocni się także nazewnątrz. Nastąpiły drugi i trzeci rozbiór — Państwo Polskie stało się ofiarą nieznanego w dziejach, ni wówczas, ni potem, gwałtu. Ale Naród pozostał. Uniknął za zrządzeniem Boskiem największego niebezpieczeństwa — rozbiorów w czasie upadku. Przyszły te rozbiory w czasie odrodzenia, przyszły wtedy, gdy Naród w wiekopomnej Konstytucji Majowej stwierdził czynem swą zdolność

do życia. To też z tej Konstytucji, jakby z testamentu Ojców naszych, czerpaliśmy przez sto lat niewoli otuchę w cierpieniach, siły do wytrwania, wiarę, że nadejdzie, nadejść musi dla Polski dzień tryumfu, dzień zmartwychwstania. To dla nas źródło mocy duchowej i wzór do naśladowania. My z niej wszyscy. Jeżeli dziś z wiarą wkraczamy w nowy okres naszego życia narodowego, zawdzięczamy to Konstytucji Majowej i tym, co «ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą — egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu... chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć... dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny». Konstytucję tę uchwalili.

Fr. KARPIŃSKI.

Franciszek Karpiński, obok Krasickiego i Trembeckiego najwybitniejszy poeta epoki Stanisławowskiej wodził się r. 1741 w Hołoskowie, koło Stanisławowa, umarł w r. 1825 w Chorowszyźnie. Poezje jego odznaczają się głębokiem uczuciem religijnem i zamiłowaniem do życia skromnego; ale niezależnego. Miłował serdecznie wieś i życie sielskie i wszystko, co pisał, nacechowane było tem właśnie umiłowaniem sielskości, nastrojem smętnym i gorącym uczuciem patriotycznym. Pisał prozą i wierszem, a najpiękniejszymi były jego wiersze drobne, zbliżone do poezji ludowej i pieśni religijne, z których wiele, jak n. p. "Kiedy ranne wstają zorze," "Wszystkie nasze dzienne sprawy", "Boże z Twoich rąk żyjemy", "Bóg się rodzi, moc truchleje" weszło do modlitewników i stało się powszechną własnością narodową — największy chyba zaszczyt — jaki może spotkać poetę. Piękne te utkory pozyskały mu przydomek "poety serca." Zostawił też Karpiński ciekawy "Pamiętnik" o przeszłości naszej, napisany w podeszłym już wieku.

PIEŚŃ

Na pamiątkę 3-go Maja 1791

Boże ? ludzie Twoi przyszli
 Dziękować Ci w Twojej sieni,
 Że z dawnych nierządów wyszli;
 Łaską Twoją podźwignieni !
 Sąsiad stanął zadziwiony :
 " Tenże to naród zgubiony ? "

Zdziwiło to ziemię całą,
Jak się kraj nasz chwały dobił ;
Bo nie wiedzą, co się stało,
Że Bóg sam wszystko to zrobił !
Boże, widzieliśmy sami,
Że Ty byłeś między nami !

On to w nasze niepogody
Zbierał serca na swe łono,
I natchnął je duchem zgody,
I dał stałość niezwalczoną.
Tak sam pełniąc dzieło całe,
Jeszcze nam stąd zjednał chwałę.

Teraz Jego wyzwoleńce,
Nie dawno prześladowani,
Chodzimy włożywszy wieńce,
Szatą łask Pańskich odziani !
Narody miejsce zrobiły,
Gdzie stanie lud Bogu miły.

Za to wszystkie kraju stany
Niesiemy Ci, Boże, dzięki,
Że każdy z nas ratowany,
Mocą dzielnej Twojej ręki,
I dzień ten Pańskiej opieki
Święcić będziemy na wieki.

Adam MICKIEWICZ

Adam Mickiewicz, największy poeta polski i jeden z największych gienjuszów świata, urodził się 24 grudnia 1798 roku w Nowogródku na Litwie, a zmarł 26 listopada 1855 w Konstantynopolu. Najdoskonalszym dziełem jego i największym z całego polskiego piśmiennictwa jest « Pan Tadeusz ». Mniejsze, choć równie piękne są « Grażyna », « Konrad Wallenrod » i « Dziady ».

Ustęp powyższy wyjmujemy z poematu Lorda Byrona « Giaur », którego Mickiewicz przedziwnie pięknie wytłumaczył na polskie.

WALKA O WOLNOŚĆ

Powstań! Te dawne, zapomniane boje
 Odnów i przywłaszcz! To dziedzictwo twoje.
 Z popiołów przodków może wróg rozdmucha
 Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
 A kto z was w boju żywota dokona,
 Wliczy swe imię pomiędzy imiona
 Na których wzmiankę, pochlebstwem pijani
 Zwykli się trzeźwić, zwykli drzeć tyrani.
 Kto z was Ojczyzny z więzów nie wybawi,
 Zginie – lecz tyle synom swym zostawi
 Sławy, nadziei, że staną się zdolni
 Rozerwać jarzmo i umierać wolni.

*
* *

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna:
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem —
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wzniesli:
Wolni nie dbają, chociaż czasu fala
Wszystkie pomniki i grobowce zwała —
Większe pomniki zostały nad nimi:
Zostały góry ich ojczyźnej ziemi.
Tam Muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

*
* *

Długoby mówić, przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie;
Dostyc jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody, — chyba on sam siebie...
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha.

Piotr SKARGA

Piotr Skarga Pawęski urodził się w roku 1536, w Grójcu na Mazowszu, jako syn mieszczanina miejscowego. Po ukończeniu nauk wstąpił do zakonu Jezuitów. Umarł w roku 1612 w Krakowie. Jest to największy polski kaznodzieja i pisarz duchowny, jeden z najbardziej zasłużonych kapłanów-obywateli, uważany za proroka narodowego.

Czytelnika świeckiego i dzisiaj, po tylu wiekach, zachwycają jego « Kazania sejmowe », z których podajemy kazanie drugie. Ponieważ język Skargi jest trochę przestarzały, dodajemy, aby ułatwić zrozumienie, objaśnienia językowe.

O MIŁOŚCI KU OJCZYŹNIE

Kazanie sejmowe ks. Piotra Skargi

To wam rozkazuję (mówi pan Jezus)
abyście się społecznie miłowali.

Jan 13, 14 i 15.

Niemasz nic pod słońcem trwałego, mówi Salomon, nie tylo domy i familie, ale i królestwa i monarchie wielkie ustają i upadają — i naród się po narodzie na ziemi odmienia. Lecz nic nie jest bez przyczyny, zwłaszcza w ludzkich sprawach, które z rozumu i wolnej wolej¹⁾ pochodzą. Co rozumem i pilnością i cnotą stanęło, to się nierozumem i nie-

¹⁾ Woli

dbałością i złością ludzką obala. Jako ciała nasze, albo wewnętrznymi chorobami, albo powierzchownymi przypadkami umierają, tak i królestwa mają swoje domowe choroby, dla których upadać muszą. Mają i nieprzyjacioły postronne, którzy je wojnami i rozbojem gubią. Obojej niebezpieczności zabiegać mądrzy z pomocą Bożą umieją, i lud swój dobry sprawce wybawiają. Na choroby domowe mają lekarstwa, a na wojny i miecz mają rozmaite obrony. Żaden z was, przezacni panowie! nie jest tak prosty, aby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego królestwa i wewnętrznego a domowego jego zachwiania: abo żeby nie uczuł mocnego nieprzyjaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym nam grozi. Byście domowe niemocy tego królestwa zleczyli, łączniejsza by na przyehodnia obrona naleść się mogła. Ale jako się chory bronić ma, który sam na nogach swoich nie stoi? Leczcież pierwej te chorą swoją matkę, tę miłą ojczyznę i rzeczpospolitę swoją. A jeśliście ostrożni i mądrzy lekarze, najdziecie sześć szkodliwych chorób jej, które jej bliską śmierć (obronń Boże) ukazują, a jako złe pulsy źle jej tuszą. Pierwsza jest nieżyczliwość ludzka ku rzeczpospolitej i cheiwość domowego łakomstwa: druga, niezgody i rostyrki sąsiedzkie: trzecia naruszenie religji katolickiej i przysada hereetyckiej zarazy: czwarta dostojności królewskiej i władzy osłabienie: piąta, prawa niesprawiedliwe: szósta, grzechy i złości jawne, które się przeciw panu Bogu podniosły i pomsły od niego wołają. Mówmy za pomocą Bożą o tej pierwszej chorobie tego królestwa.

Dwoje przedniejsze rozkazania umierając pan

Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się spólnie miłowali: drugie, abyśmy pokój między sobą i zgodę świętą zachowali: jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada: lepiej wszystkie, którzy w mieście jednym są a w pogotowiu jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, albo dla nich co cierpim. Także dobra zgoda i pokój między królmi, którzy wszystkiemu światu pokój swoją zgodą przynoszą. Do tej szerokiej i przestronnej miłości przywodzić się macie, którzyście tu na to się zjechali, abyście o tem myśleli i radzili, jakoby lud wszystek nie ginął, a wasza ku dobrom pospolitym miłość gorąca i szczerą pokazać się mogła.

Przykład tej szerokiej i przestronnej miłości postanowił nam, uczniom swoim, na sobie Pan Zbawiciel i mistrz nasz, gdy wszystkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił. Ujrawszy¹⁾, mówi Ewangelista, lud wielki, użalił się nad nimi, bo byli strapieni i leżący (w chorobach), jako owce nie mające pasterza, i wnet je leczył, karmił i nauczał. A jeszcze większą²⁾ miłość pokazał gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszystkie na świecie ludzkie, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny.

Taką miłością ku ludziom zapalać się macie wy, którzy o dobrem pospolitem radzicie, wy, które Pismo bogami zowie, bo nie tak własnego Panu

¹⁾ Ujrawszy.

²⁾ większą.

Bogu nie jest, jako ludziom wszystkim dobrze czynić: i kto taki jest, boskie naśladowanie i obraz na sobie nosi. Przełożeni nad ludźmi bogowie są ziemscy, nie tyle dla tego, iż moc Bożą mają na gubienie złych i na ożywienie abo uweselenie dobrych i niewinnych, (bo sam Pan Bóg umarza i ożywia), ale najwięcej dla tego, iż oni miłosierdziem i staraniem swoim nędzę ludzką odganiać mają, aby, ile z nich jest, każdy pomoc jaką miał, jako to Pan Bóg czyni, który wszystko, co stworzył, opatruje i żywi i. na nie hojne dary miłosierdzia i dobroci swej wylewa, nie tylko ludźmi rozumnymi, ale i bestyami nie gardząc, jako Psalm mówi: «Oczy wszystkiego stworzenia patrzą na Ciebie, Panie, a Ty im dajesz pokarm ich czasów swoich: gdy ty dajesz i sypiesz, oni zbierają: gdy otworzysz rękę twoją, wszystkiego dobra pełno jest».

Słusznie też do was wrócić się może, przezacni obmyślacze dobra pospolitego: wszystkiej tej korony, to jest ludzi i dusz, ile ich jest w Polsce, w Litwie; w Rusi, w Prusach, Zmodzi¹⁾, w Inflanciech²⁾, oczy się do was obracają i ręce do was podnoszą, mówiąc jako oni Egipcjanie do Józefa: Zdrowie nasze w ręku waszych, wejrzycie na nas, abyśmy nie ginęli i w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewolej³⁾. Wyście ojcowie nasi i opiekunowie, a my sieroty i dziecińcy wasze. Wyście jako matki i mamki nasze: jeśli nas odbieźycie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginiecie. Wyście rozum

¹⁾ w Żmudzi.

²⁾ w Inflantach.

³⁾ niewoli.

i głowy nasze : my jako proste dzieci, na wasze się obmyślanie spuszczamy, i Pan Bóg wam myślić o nas rozkazał. Wyście jako góry z których rzeki i zdroje wytryskają, a my jako pola które się onemi rzekami polewają i chłodzą. «Góry (jako Psalm mówi) przyjmujcie ludkom pokój i pagórki spuszczajcie im sprawiedliwość». Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy nie dla was, abyście sami swoich pożytków pilnowali :ale dla ludu, który Wam Pan Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczaali.

B.D.I.C

Toć są głosy i wołania ich do was : zmiłujcież się nad nimi. Miłujcie tę ojczyznę swoją i to Jeruzalem swoje, to jest koronę tę i rzpltą, a mówcie tak z serca z Dawidem : “ Jeśli Cię zapomnię, Ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnię prawicę ręki swojej”. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę”. O jakie zaklinanie ! Którem się wiązać macie, abyście nie sobie tak miłego, tak wesolego nie mieli, jako dobro Jerozolimy swojej, to jest rzpltej, i ojczyzny swojej ; życząc sobie onego w psalmie błogosławieństwa : “ Błogosław ci Bóg, abyś patrzył na dobro Jerozolimy po wszystkie dni wieku twego”.

Jako najmilszej matki swej miłować i onej czić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? Która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i komora dóbr waszych wszystkich? Jeruzalem, matka

nasza, — mówi Apostoł — nad wszystkie¹⁾ matki
czci i szanowania godna.

Rozmyślcie, jakie od tej matki dobrodziejstwa i
upominki macie! Ona wam wiary ś. katolickiej,
przez którą do wiecznej ojczyzny przechodzicie, do-
chowwała i Chrystusa, zbawienie wasze i jego Ewan-
gieliej dotrzymała. Ona jej od fałszywych nauk i
jadów heretyckich obroniła. Ona Husa przed stem
kilkadziesiąt lat swymi kaptury i konfederacyami i
jego przekłete kacerstwo odpłoszyła. Do tego czasu
kapłany wam i biskupy i duchowne pasterze wasze
daje, przy których przystęp do łaski bożej i obroni
od wszystkich nieprzyjaciół macie. Ona wszczepiła
tu ołtarz służby Bożej i ofiar przedziwnych, z których
Wam ubłaganie Boskie zawždy płynie. Ona się i
dzisiejszych złych wieków srogim heretykom odej-
muje, i wilki te jadowite, jako może, od was odgania,
i stara się, abyście nie byli bez kapłana, bez ołtarza,
bez nauki, i zatem bez Boga, jak się to innym na-
rodom przydało, którzy tak dobrej i czujnej matki
nie mieli. Jakoż jej miłować nie macie?

Ta matka, ojczyzna najmiłsza, wszczepiła wam i
dochowwała stan i majestat który jest zatrzymaniem i
ozdobą wszystkich dóbr i sławy waszej, iż król po
królu do tego czasu nie ostał, iż dostojność ich
dobrze obwarowana jest, iż po dziś dzień patrzycie
na pany i króle swoje, pomaszczenie²⁾ Boże i z ich
się ozdoby i możności uweselacie — i ono błogosła-
wienieństwo macie, które prorok obiecuje: “ Jeśli mię
słuchać będziecie, mówi Pan Bóg przez te bramy

¹⁾ wszystkie.

²⁾ pomazańce.

wjeżdżać królowie i panowie waszy¹⁾ będą, siedzący na stolicy Dawidowej, na wozach i koniach, oni i panowie ich". Biada narodom, którym Pan Bóg króla i pany pobrał, abo królestwa ich porozdzielał, które z Danielem płaczą mówiąc: "Niemasz teraz króla, i pana, i kapłana, i proroka, które Pan Bóg pokarał oną plagą". — "Będą, prawi, siedzieć bez króla, bez pana, bez ołtarza, bez ofiary". Błogo wam teraz, którym Pan Bóg w tej ojezyźnie tego wszystkiego dochował. Ta matka skupiła wam do jednego ciała rzpltej tak szerokie i zacne narody! Rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwe poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieja!...

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie, których moc, prawy okreszona²⁾ żadnego wam bezprawia nie czyni, żadnego od postronnych panów i od swoich uciśnienia nie cierpicie. Samiście tylko sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością albo raczej swowolnością przeszkody sobie sami czynicie. Tureckiego i Moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie, jakie uciśnienie i tyranją cierpią. Nie takato ojezyzna wasza! Matką wam jest, a nie macochą! Na rękę was swoich nosi a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści! Sami sobie szkodzicie i jeden nad drugim tyranją podnosicie, praw nie egzekwując, a moc pańską tam, gdzie nie potrzeba, króćąc. Z strony matki niemasz nic, w czembyście

¹⁾ wasi.

²⁾ określona.

się żałować na nią mieli, — chyba sami na się!...

Patrzcie do jakich dostatków i bogactw i czasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów, takie kłosy, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma. Pierwej rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wasze woniąją¹⁾. Pierwej samodziałki boki nasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie. Pierwej proste rydwany i rzadkie, częste siodła miasto poduszek, a teraz złote kolebki i karety. Pierwej proste potrawy a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszystkim, a teraz półmisków kilkadziesiąt. O namilsza matko! Już zbytują dzieci twoje! Żle tych dostatków używają! na grzechy, na utraty, na próżności. A ja co winna? mówi: mają rozum, mogą tych darów Bożych używać na kościoły i chwałę Bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi: ja niewinna iżem w dawaniu matką: oni winni, bo mię nie słuchają a dobroci mojej i Boskich darów źle używają.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napelnily się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze. “Potwierdził”, jako Psalm mówi, “zamki wrót granic twoich i błogosławił Pan Bóg synom twoim. Dał granicy twej pokój i tłustością zboża to jest obfitością wszystkiego nakarmił cię. “Boże! Abyście dobrze tego pokoju użyli, a zwłaszcza tak, jako on król Azar o którym pismo mówi: Pobudował mocne miasta,

¹⁾ wonięją, pachną.

bo za czasów jego wojny nie powstawały, gdy Pan Bóg pokój dawał — i mówił do poddanych: Budujmy miasta i otoczmy je murami, utwierdzajmy wieże i bramy, póki mamy odpocznienie od wojen”. A u was pokój i dostatki, które z niego rosną, w próżne się utraty obraca, w zbytki i w gnoje; a zamki puste, wieże próżne, drugie się obalają i gniją: — na przyszłe wojny i niepokoje oka nie macie, Dosyć wam ta matka pokojem takim okazuje, do czego byście się pokwapiać mieli, póki czas jest. Bo zda mi się już od niewdzięcznych ten tak bogaty pokój oddali i przerwie.

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną, która się tych wieków nawięcej za szczęśliwym panów i królów waszych panowaniem podniosła. Rodzi wam ta matka mężne mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki na który się nieprzyjaciele oglądają.

Taż matka najmiłsza uczyniła wam sławę u wszytskiego chrześcijaństwa i pogaństwa, iż od zachodu i wschodu zacnemi poselstwami uczczony król i pan wasz wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymać i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe a pospolite burzycie — i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili. Nie tak jest; ale jako Pan rzekł: “Kto zdrowie swoje miłuje, traci je. A kto je utraci, najduje je”. Gdy okręt

tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie — i mniema, że się sam miłuje a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątkością, którą ma w okręcie pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiero wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich¹⁾ nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczeństwa jego wszystkim, co w domu jest nie pogardzamy, — zatonie i z nim my sami poginiemy.

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony, imienia skarby i wszystko, w czym się kochacie: w tym tak wiele dusz jest, ile ich to królestwo i państwa przyłączone mają, niedajcie im tonąć, a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem i bracią swoją: nie tylko majątkością, ale i zdrowiem im własnem usługujcie wy, którzyście je pod swój rząd i opiekę wzięli. Bo nie tyle majątkości dla miłej braciej²⁾ i rzpltej nie żałować, ale i umierać winni jesteśmy, jako Jan św. mówi: «Jeśli Chrystus za nas zdrowie swoje położył, i my je kłaść za bracią naszą mamy»: skąd jest i u Pana Boga zapłata, bo jest własne³⁾ Chrystusa naśladowanie, i u ludzi wieczna sława.

¹⁾ wszystkich ;

²⁾ braci ;

³⁾ właściwe, należyte ;

Lecz jeśli majątkości załujem i dla niej rzpltej
szkodzim, jako zdrowia nastawim? wzdzy⁴⁾? te
mniejszą rzecz czyńmy.

Patrzcie na przykłady świętych, jako w tej mi-
łości ku ludu swemu gorący byli. Mojżesz acz często
na swój lud i na jego twardość do dobrego narzekał
jednak gdy je Pan Bóg zgubić chciał, nie tyle
zdrowiem swoim, ale i zbawieniem swoim zastąpić
je i odkupić chciał mówiąc: «Abo im odpuść Panie
ten grzech, abo jeśli tego nie uczynisz, wymaż mię
z ksiąg twoich, w któreś mię napisał.

Aod, widząc swój lud bardzo od Moabitów ty-
raństwem uciśniony, zdrowie swoje ważył i na pokoju
Eglona tyrana zabił i wyzwolił bracią swoją.

Samson o krzywdy braciej swej z Filistyny sam
jeden wojny zwodził, i rad z nieprzyjaciółmi ludu
swego, sałę onę z nimi obalając, umarł.

Dawid gniew Pański i karanie na się obracał,
aby poddani jego nie cierpieli, mówiąc do Pana Boga:
«Jam zgrzeszył, a ta trzoda co zasłużyła? Panie Boże
mój! Proszę obróć rękę twoję na mię i na dom ojca
mego, a ludu twego nie zabijaj».

Joab, hetman Dawidów, rad za sąsiady swe
zdrowie niósł na wojnę, mówiąc: «Walczmy o lud
nasz i o miasto Boga naszego, a Pan niech czyni,
co się jemu podoba». Za lud, prawi, nasz i za
miasto Boże. Dwie go te rzeczy śmiałym na wojnie
czyniły, gdyż nie dla korzyści, ani dla swej sławy,
ale dla braciej swojej i dla chwały Boga swego na
ostre żelaza nieprzyjaciół nacierał.

Patrzmy na onę parę świętych młodzieńców, na

⁴⁾ przynajmniej, bodaj.

Neemiasza i Zorobabela, jako dobre ojczyzny swojej i rzpltej nad wszystkie swoje dobra przekładali i onych dla niej radzi odbiegali. Neemiasz będąc pojmany w niewolę babilońską, utraciwszy z ludem swoim ojczyznę miłą, od nieprzyjaciół zburzoną, do takiego szczęścia przyszedł, iż u króla Artaxerxa, którego poimańcem¹⁾ był, podczaszym został — i gdy mu wino podawał, rzekł mu król: «Czemuś, tak smutny, chorym nie będąc? Nie darmo to, coś złego jest w sercu twojem». A on przeląkszy się rzekł: «Królu, żyj na wieki! Jako ja smutnym być nie mam, gdyż dom, miasto pogrzebów ojców moich²⁾ spustoszało, i bramy jego ogniem są popalone». I rzekł król: «A o cóż mię prosisz?» Mógł namilszy młodzieniec prosić o pożytki i pociechy i czci swoje, ale wszystkiego swego szczęścia odstępując, o naprawę ojczyzny swej prosił, w tem nawyższe³⁾ swoje pociechy kładąc, gdy nie jemu, ale wszystkiemu ludowi, braciej jego, dobrze się dziać miało. Obyście takie serce ku ojczyźnie mieli, a za własnymi pożytki domów swoich nie biegali! Jakobyście za tę miłość wielką u Pana Boga prędkie pociechy na zachowanie rzpltej odnosili! Ale łakomstwo i ciasne, a tylko do swoich własnych pożytków przywiązane serce wszystkie dobre rady rozprasza.

Co mówić o Zorobabelu i o gorącej jego ku pospitemu dobru miłości? Gdy mądrością komorne towarzysze swoje u monarchy świata Daryusza przeszedł, a mądrą gadką, coby na świecie było namocniejszego, prawdę wyniósł i wysławił, dowo-

¹⁾ jeńcem.

²⁾ miasto, w którym pogrzebani są ojcowie moi.

³⁾ najwyższe.

dząc, iż ta mocniejsza i trwalsza, niżli wino, niżli król, niżli niewiata, upominki zakładne odniósł i wygrał takie: «aby w szkarłacie chodził, aby ze złota pił i na złocie sypiał, i na wozie ze złotem jeździł, i czapkę miał z bisu¹⁾ i na szyi złoty łańcuch, ażeby wtóre miejsce miał po królu dla mądrości swojej, i powinnym²⁾ zwany będzie Daryuszowym». A gdy go spytał Daryusz mówiąc: nad to co na znowie i zakładzie napisano, prosz jeszcze o więcej (boś mędrszym nalezion jest nad towarzysze twoje, wedla³⁾ mnie siedzieć będziesz, i powinnym moim zwany będziesz), on rzekł: «Pomnij królu na ślub twój, któryś uczynił dnia tego, którymś królem został: zbuduj Jeruzalem i skarby kościelne pobrane odeślij, które Cyrus oddzielił: zbuduj kościół spalony, napraw ziemię ludzką spustoszoną; o to ja, panie, proszę, o to majestatu twego żądam».

O błogosławiony miłośniku braciej twojej! Nie ruszyło cię ono złoto i dobre mienie i cześć ona po królu wtórym być i świat rządzić i u ludzi tak wielką sławę mieć; wszystkoś to porzucił i podeptał, abys ojczyźnie i braci swej i rzpltej służył. Wolałeś sam poniżonym być, aby ona głowę podniosła; wolałeś zostawać ubogim, aby ona zbogaciała. Darowałaś matce swej wszystkie pociechy swoje; wylałeś na nią wszystko szczęście swoje, w jej dobrém i powstaniu i pomnożeniu wszystkie dobra swe zamykając. Naśladujemy, a za nie sobie własnych pożytków nie ważmy, gdy ojczyzna tego potrzebuje,

1) bisior, rodzaj materji cenniejszej od purpury.

2) Powinowaty, krewny.

3) wedle, obok.

abo gdy się jej do szczęścia naszymi chciwościami przeszkadza.

Matatyasz dla rzpltej, która na zakonie Bożym fundowana była, dla oddalenia niewoli i tyraństwa króla Antyocha, i innych postronnych nieprzyjaciół zdrowie swoje ważył. I mając sześć synów, na testamencie im umierając rozkazał, aby żaden na łóżku swoim nie umierał, ale mężnie o lud swój i o zakon Boży i wiarę wojując i ojczyznę broniąc umierał; i posłuchały go dobre dzieci wszytcy¹⁾, i szczęścił im Pan Bóg w wielu wygranych i niepodobnych do zwycięstwa bitwach, i wojując, jeden drugiego upominał: «Podnośmy upadek ludu naszego, a walczmy o lud nasz i o kościół nasz». I wszyscy bracia oni, na bitwach pozabijani, sobie śmierć, a ludowi swemu i rzpltej wolność i wybawienie od tyranów przynieśli. Nad których śmiercią płakali, mówiąc: «Jakoć polegli mocarze, którzy wybawiali lud izraelski?». Żadna ich korzyść do tego nie wiodła i męstwa im onego nie czyniła, jedno miłość ku uciśnionej braciej i ku ojczyźnie i sławie ludu swego.

A nie tylko ²⁾ mężowie, ale i niewiasty słabej płci, tę cnotę chęci ku dobremu pospolitemu mając, rady i zdrowia swego odstępowwały. Wspominam sobie córkę onę Jeftego, której ojciec Jefte, gdy się z wojny z wielkiem zwycięstwem wracał, ona przeciw jemu ³⁾ z swemi rowienniczkami panienkami z bębny i z weselem wyszła. A ociec, za głowę się jawszy, do

¹⁾ wszystkie.

²⁾ tylko.

³⁾ naprzeciw niego.

niej rzekł: «Oszukałaś mię i sama siebie, namilsza córko: ślubilem Panu Bogu, jeśli mi da zwycięstwo, cokolwiek pierwszego wynidzie z domu mego, abych to Panu Bogu ofiarował i zabił». A ona się na to nie przelekała, rzekła: «Gdyż ci Pan Bóg dał zwycięstwo, a takeś Panu Bogu obiecał, uczyni ze mną, coś obiecał». Ale, namilsza córko: śmierć sroga tobie panience młodej? Aleś jest jedynaczka u ojca twego? Aleś tak młoda i urodziwa, dom wszytek ¹⁾ pociechy z ciebie czeka? A ona mówi: «Nie to, wesele popolite i szczęście ludu mego i wybawienie jego od nieprzyjaciół wszytkie te pociechy we mnie gasi, rada ich odstępuje, rada za to takie wesele ludzkie zdrowie daje». O nieoszacowana dobroci i ku ojezyźnie miłości: kto cię dziś naśladuje? Już i panny mdle i bojaźliwe męże i chłopcy w miłości ku popolitemu dobru i szkód dla niego podejmowaniu przechodzą.

Druga, Judyt, co uczyniła? Obleżono Betulię, lud od głodu i pragnienia umiera; a ona się nad nędzą ludzką uzaliwszy, i zdrowie i czystość swoje na to ważyła, aby lud swój wybawiła. I poszczęścił Pan Bóg rady jej i lud wybawiła i sama przy zdrowiu i czystości została, i wiecznej sławy, jako dobrodziejka narodu swego dostała.

A Hester, także mężna i miłości ku swemu ludu pełną będąc, zdrowiem swoim wzgardziła, gdy nad zakazanie do Aswera przystąpiła, wkładając się o lud swój, aby od onego Amana zgubiony nie był; i wywiodła naród swój z wielkiej trwogi i złej toni bardzo.

¹⁾ wszystko, cały.

Lecz i poganów się wstydzmy, którzy tak nau-
czali i pisali: «Rzeczpospolita zowie się powszechnem
miastem, za którą umrzeć i ze wszystkim się jej
oddać i w niej wszystkie nasze pociechy położyć i onej
je poświęcić winni jesteśmy.» I niewiasty u Rzymian
w pogaństwie mówiły: «Dla tego syny rodzimy, aby
był kto za rzeczpospolitą umierając.»

Pomnicie na one Kodry, Decyusze, Reguluse, jako
za lud swój radzi umierali. To wždy ¹⁾ jeden dziwny
i lez naszych dobywa ten Regulus: Gdy był w poi-
maniu ²⁾, nieprzyjaciele go do domu, słowu jego
dufając ³⁾, puścili, aby zamianę za się, więźnie ich
uprosił i odesłał, a sam został. On widząc, iż wie-
źnie nieprzyjaciół byli godniejsi i mężniejsi, niżli on
sam z drugimi, odradził urzędom ⁴⁾, aby tego nie
czynili, a sam się do nieprzyjaciół, słowo swoje
iszcząc, na wielkie pewne męki, w których go nie-
spaniem umorzono, wrócił. Kto się na taką miłość ku
pospolitemu dobru nie zdumieje, w człowieku zwłasz-
cza, który się samym tyło rozumem przyrodzonym
rządził, a po śmierci żadnej pewnej obietnice nie
miał? A nie dziwię się jednemu mądrymu z pogań-
stwa, ale całym wojskom ich, które dla rzpltej z
ochotą tam szły, gdzie wiedziały, iż się stamtąd nie
miały wrócić.

Znaczna i ona nauka ich, gdy piszą: «Którzy
rzpltą rządzą, dwie te nauce ⁵⁾ chować mają: jedną,
aby pożytków sąsiad ⁶⁾ swoich tak bronili, jakoby

¹⁾ przecież, jednak.

²⁾ w niewoli.

³⁾ ufając.

⁴⁾ urzędnikom, władzom.

⁵⁾ nauki.

⁶⁾ sąsiadów.

wszystko, co pōczną, do nich obracali, swoich zapominając; drugą aby się o ciało wszystkiej rzpltej starali, aby jednych broniąc, drugich nie opuszczali. A my pierwsze oko na swe domy obracamy, by dobrze rzplta przepadła; byle nasze zbieranie całe było i codzień się szerzyło, nie nie dbamy. Przetoć całe będzie, gdy się dom wszytek królestwa obali, a okręt się ze wszytkimi zanurzy. A my o pospolitym radząc, jeden stan ucisnąć, a drugi podnieść chcemy. Duchowny stan poniżyć i zniszczyć, a heretycki abo świecki na górze postawić niektórzy usiłują, kmiotki poddane gubić, a sami sobie dogadzać w poborach i inych ciężarach chcemy. Nie tak bracia: Złe ręce, gdy jedna chora; — obie zdrowe być mają.

Cóż wždy czynim? Izali się z tego poddaństwa około miłości ku rzpltej nie zawstydzim a nie poprawim? Oni z samego rozumu przyrodzonego widzieli to, iż słuszną rzecz jednemu dla wszytkich szkodę mieć, aby się ich wiele zachowało. Widzieli, iż ręka na obronę głowy rada ranę i ucięcie cierpi, aby wszystko ciało nie umierało. Widzieli, iż lepiej sto zdradzić ¹⁾ zgubić, aby wszytka ojczyzna nie ginęła. Widzieli, iż dla lepszego rodzaju jedne gałęzie ucinają, aby drugie lepiej rodziły. — Tak też człowiek jeden dla pożytku pospolitego żałować się i majetności swojej nie ma. A my, cośmy od Chrystusa w takiej szerokiej miłości nauką i przykładem jego wyćwiczeni są, słabszy i ozięblejszy ku bliźnim być mamy? Nie daj Boże!

Poganie nie mieli o miłości ku braciej rozkazania od Boga, jedno sam rozum; a my tak surowy, pilny

¹⁾ zdrajców.

Boga naszego o tem mandat ²⁾ mamy: «Rozkazuje wam, prawi, abyście się spólnie miłowali tak, jakom ja was umiłowal». A jako Panie? «Jam zdrowie swoje za was i za wszystkie położył: i wy tak braty swoje miłujcie».

Poganie do pełnienia takiego zakonu pomocy i łaski z nieba nie mieli, a nam Chrystus przez Ducha św. wlewa miłość, abyśmy się ją ³⁾ zapalali, a nie nam dla braci naszej ciężko nie było. Jakoż słusznego potępienia ujdziem?

Poganie za rzplątą umierali, nie się po śmierci nie spodziewając, abo nie pewnego o zapłacie na onym świecie nie mając, na samej tylko poczeiwej sławie u ludzi przestając. A my tak wielkie i tak pewne o zapłacie po śmierci Boga naszego obietnice mamy, jeśli to przykazanie o miłości wypełnim. I tu na ziemi nieśmiertelną sławę daje tym, którzy dla braci i dobra pospolitego ucierpieli: Jaka sława tych słynie i dziś, w piśmie ś. i innych dziejach opisana jest.

O wielmożni Panowie! O ziemscy bogowie! Mieście wspaniałe i szerokie serce na dobre braciej swojej i narodów swoich, wszystkich dusz, które to królestwo z swemi państwami w sobie zamyka. Nie cieśnijcie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach: nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich; niech się lud wszytek z was gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa. Naśladujcie go onego chrześcijańskiego króla, który z wojskiem wyciągnawszy, na chorągwi swojej namalować kazał ptaka, który swoją krwią ptaszęta

²⁾ polecenie, przykazanie.

³⁾ nią.

od węża zarażone ożywia, dając znać, iż za swój lud rad umrzeć chce, sobie śmierć, a im żywot obierając.

Są drudzy, co mówią: co mnie po królestwie i rzpltej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę? To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate: Rób sobie niestatku ¹⁾, a Pana Boga proś o potrzeby swe, a przestań na swym stanie; a nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi, braciej swojej nie gub: — Boże! Aby się takich, jako monstrów jakich, mało znajdowało, którzy srożej, niżli bestye nie ludzkości krwi i rozlania pełni są.

Takich podobno więcej, którzy służyć rzpltej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, abo gdy im za to nie płacą. Ci są dziwnie głupi, którzy nie wiedzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedną na swoje przystojność; nie widzą, iżby tak nikt nigdy dobrym nie był, nie widzą iż tak wiele nie tyło u króla, ale i monarchy świata wszytkiego bogactwa niemasz, aby każdemu dobry jego uczynek mógł płacić. Sam tak możny i bogaty Pan Bóg jest, do którego zapłatę naszą odkładać mamy. I tego nie widzą, iż u panów i u innych dobrego mniemania o cnocie swojej mieć nie mogą, gdy co cnotliwego z najmu ²⁾ czynią: bo pomyśleć mogą, jeśli ten za dobry postępek chce pieniędzy, podobno się i na zły dla pieniędzy pokwapi. Nakoniec, nikt za to zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swej służy, sam

¹⁾ niestateczniku, człowiecze niestateczny.

²⁾ za zapłatę.

sobie służy, bo w niej jego wszystko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: płać mi, iż swego zdrowia i domu swego, żony i dzieciak moich bronię. Sama obrona zapłata tobie jest; czegoż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpiesz, zdrowie swoje opatrujesz, izali za to zapłaty chcesz?

Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i zakon jego i dobry rozum każe. Możeć się i na zapłatę obejrzeć, ale niebieską naprzód, a potem na tę doczesną. Lecz wszystka się myśl z początku sadzić na tem w swoim przedsięwzięciu nie ma. Jeśli nie chce, dosyć mam na zapłacie po śmierci; i sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszystkim dobrze czynim, ma swoje serdeczną zapłatę i pociechę wewnętrzną wielką: — jakobych się najadł i ubogacił, gdy komu co dobrego uczynię, mówi mądry.

Zaprawże w was Pan Bóg wielką miłość ku braciej waszej i wszystkim obywatelom korony tej, abyście o nich uprzejmie i szczerze, nic swego nie pragnąc, radzili, na samego tylko Pana Boga i na ludzki pożytek patrząc. Boże! Spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowiem, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szczęśliwie mogli. — Przez Jezusa Chrystusa, Pana Naszego. Amen.

Juljusz SŁOWACKI.

Juljusz Słowacki, największy obok Mickiewicza poeta polski urodził się w 1809 roku w Krzemieńcu na Wołyniu, a umarł w Paryżu 1849. Najpiękniejsze jego dzieła są "Anielli", "W Szwajcarji", "Beniowski", tragedje "Lilla Weneda", "Balladyna", "Mazepa" itd. Przytoczony tutaj wiersz jest dedykacją poematu "Piasta Dantyksza o piekle" Warszawie, która po upadku powstania listopadowego musiała kapitulować wobec wojsk carskich. Pełne piękna i godności narodowej jest ujęcie tej kapitulacji przez poetę.

DO WARSZAWY

U nóg twych kładę, o! żaloszna wdowo
 Polskiego ludu! O matko w żalobio
 Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
 I tych, co wierzą, że wstaniesz na nowo.

O ty! gotowa twą krew Chrystusową,
 Rzucić na twarzo wąpiące i blade —
 Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę
 I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlekła
 Carskiego czoła i carskich rycerzy:
 A gdy mówiono, żeś przed nim uklekła,
 Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy.

Potem, schyliwszy czoło zamysłone,
 Rzekłem, żeś klekła ty po tę koronę,
 Co spadła z głowy i u nóg ci leży.

Marja KONOPNICKA

Marja z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w Suwałkach w roku 1846. Kształciła się w domu rodzicielskim, pod okiem ojca, Józefa Wasiłowskiego, rok jeden spędziła na pensji, w klasztorze Sakramentek w Warszawie. Wyszędłszy młodo za mąż za obywatela ziemskiego, Konopnickiego, zamieszkała w majątku jego w Bronowie, niedaleko Łęczycy. W r. 1876 przeniosła się do Warszawy, gdzie, doglądając nauk dzieci, uzupełniła poważnie swe wykształcenie. W r. 1890 z rozkazu władz rosyjskich musiała opuścić Warszawę. Tak rozpoczęła się jej tułaczka po Szwajcarji, Niemczech i Włoszech. Pisać zaczęła późno, licząc lat trzydzieści.

Liczne, porozrzucone po czasopismach utwory jej wyszły w długim szeregu osobnych zbiorzków. Pisała też wiele prozą: nowele, szkice, studia literackie. W wielkim poemacie epicznym «Pan Balcer w Brazylii», opisuje Konopnicka niedolę tułaczą ludu polskiego na dalekim świecie.

Znakomita poetka, której nazwisko jaśnieje pośród najświetniejszych nazwisk literatury polskiej, ukochała szczególniej ziemię polską i lud, a wśród niego wyszczególniała jeszcze miłością swą najbardziej upośledzonych. W równym stopniu była wrażliwą i na cierpienia tych, co potem i łzami skrapiają gorzki chleb powszedni w wielkich gwarliwych miastach.

Miłowała również serdecznie dzieci i poświęciła im cały szereg drobnych arcydzieł («Moja książeczka», «Wiosna i dzieci.»)

Naród wielką jej miłość zrozumiał i do serca głęboko wzięwszy, obdarzył ją tem, co miał najcenniejszego — ziemią. Ofiarował jej w darze jubileuszowym posiadłość ziemską w Żarnowcu, w Galicji.

Zmarła Konopnicka we Lwowie, w roku 1910.

GŁUPI FRANEK

Nizki brzeg Narwi kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pełczyńskich do Zajek ciągnie się kręto i obłącznie, brzmiała teraz jak struna ruszona.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode, kwieciowe słońce, jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomieniwszy tylko ząbek widnokregu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie pija wody i powietrze ciche.

Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskrós światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymity tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, rozciągające się aż do samej Biebrzy, dyszały tchem ciepłym jeziorka i kolbiele, z których opary to w górę słupem sinym szły, to opadały poszarpaną płachtą, nie puszczając oczu w głąb zarastających je oczeretów, sitnisk i wikliny.

Z tych to właśnie oczeretów i sitnisk biła owa różnośna, głuszająca wrzawa ptasia. Tutaj to grały beka-sy, chruściele, łyski krzykliwe i biegusy błotne. Stąd rwały się wrzeszczące czajki, baki, kurki wodne; tam odzywał się nur, tam darły się krakwy wrzaskliwe, tam podgorzałki, jednostajnym kwakiem świdrujące uszy, tam cyranki lotne. Tam zapadały rybołówki i mewy, tam krążyła wysoko pływająca w powietrzu kania; stamtąd i czapla, śmigając skrzydłami jak miechem, brała lot ciężki, oporny.

Wrzask tu był tak zmieszany, głosy tak rozmaite,

że zupełnie pokrywały szum szorującej po przez trzciny rzeki, która sobie z sykiem drogę torowała, tworząc w pośrodku owych kęp i sitnisk małe, ciche, odbijające błękit nieba oka, niby sadzawki, umyślnie dla tej skrzydlatej hałastry robione.

W tej chwili właśnie, z jednej z kęp takich porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nie widać nie było. Wkrótce przecież, z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosem okryta, mało co różniąca się barwą od poźółkłych zeszlorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chudej szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej grzywy, posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistej głębi oczu, twarz chudą, śniadawą, i szerokie cienkie wargi, które dziwaczny, pełen żalości i zakłopotania uśmiech, szerszemi czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między poźółkłymi badyłami sitowia, sterczały gęsto trzciny o brunatnych palkach, połamane kłębnie tataraków i wielkie pierzaste kicie mietlic, tworząc oryginalne tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski przebiegłości i przekory, a na dnie których leżał stary i niepokieszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzcina tkwiły tak nieruchomie, że kaczki, łódź nagle zniżywszy, biły w nią niemal, nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżej, nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigły w powietrzu śniade brzegówki, których gniazda czerniły się w gliniastym ile wyższego brzegowiska rzeki, jak kule, tkwiące w gęsto ostrzelanym murze, Przenikliwe ich głosy wpadały w tępy, uporzeczywy kwak kaczego stada, jasne, fletowe, wysokie. I one zlekły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka, bujająca się na okiści rudego szuwaru, tuż prawie przy spłowielej gęstwie włosów owej główy, świegotła cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jednym, to drugim oczkiem na nieobyczajne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet zrozumieć, co ten świegot znaczył.

... Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

... To jest głowa głupiego Franka... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcej... Czego się bać? Czego się bać?...

...Poznaję ją... Wybornie ją poznaję... W czółnie tu leży każdego wieczora, z czółna podnosi się każdego rana... Czego się bać?... Czego się bać?

...Nic złego nie robi... jajek nie wybierze... piskłat nie nastraszy... Czego się bać?

...Tak, to głupi Franek!... Głupi... głupi Franek?... Czego się bać?... Czego się bać?...

Nagle urwała pokrzywka swój świegot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrzu wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągniętych lotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świegotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała całutką historję o tym głupim Franku.

Byłaby opowiedziała, jak to on niewiadomo skąd naprzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeżna; jak te baby mówią, że go w czaplinem gnieździe topielica powiła; jak ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz «głupim» był i tak się już został; jak do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki latem żył, a zimą z miłosierdzia ludzkiego. Byłaby może i to powiedziała, jakie to miłosierdzie gorzkie... gorzkie... gorzkie... Jak się dziewczyny z głupiego Franka śmieją, jak dzieci ze wsi czeredą za nim biegają, jak zima długa i ciężka w szopie, a nie w izbie! Byłaby powiedziała, jakie słońce dobre i miłosiernie, że wraca z wiosną, jakby zapomniało czego, wraca i wygrzewa siłowia i kępy brzeżne, i budzi rybki pod wodą, i czerwieni po przylaskach jagody i głupiego Franka ratuje. I jaka rzeka dobra i miłosierna, że głupiego Franka przygarnia, i jak niegdyś w czaplinem gnieździe, tak go teraz po kępach i szuwarach tuli... I jaka ziemia dobra, dobra i miłosierna, że na tych półkach chłopskich, między gospodarskimi pełnymi kłosami i takie chude rodzi, które na podptomyk dla nędzarza idą, na ten chlebek czarny, łzami obmywany, który choć gorzki... gorzki... o! jak gorzki... duszę przecie trzyma w ciele, i dech żywota w piersiach trzyma, aby do pory, aby do pory...

Ona i to powiedziałyby może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak ręką chudą, czarną, głaszcze aksamitne palki trzciny i zielone wstążki tataraków; jak i w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prosząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzucea i tak się do niej tuli, właśnie jak owa

dziecko do matczynej piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem w wodzie i w powietrzu bywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniało się, jakby rozsnutą w tysiące tęcz drobnych brylantową przedzą.

Obok sterczącej nieruchomie w oczeretach głowy, ukazała się teraz chuda, czarniawa ręka, dodając oczom zachrony. Ręka ta drżała do samego ramienia; nie było w niej widać dobrej siły. A może chłód nocy i wilgotnego szuwaru w czuśnie siedział w niej jeszcze.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia, z którego porywając miliardy iskier, zaczęły biedz fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oślepiającym uderzeniem światła; tylko usta sterczącej w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakolysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwieniu, zniknęła nagle w pośród mieniących się na wskrós srebrem zroszonych kłosci mietlic i trzciny, której brunatne palki zapłomienily się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitniska, otrząsnął się, wyprostował i wzięwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chuderlawy i nędznie odziany.

Szmat starego szpencera na grzbiecie niewielkiego grzać musiał, bo twarz miał posiniałą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i także hajdawery ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką w pasie, a u kostek sznurkiem związane, postowały z wierzbowego łyka,

parciana torba przez plecy, oto i cała chudość. Głowę miał odkrytą.

«Głupi» na wsi, niemal we wszystkich okolicach kraju tem się szczególnie na pierwszy rzut oka odznacza, że bez czapki zimą i latem po drogach sobie chodzi, jak po własnej chacie.

Słońce go pali, deszcz moczy, wiatr suszy, mróz szczypie a on jakoby Panu Bogu wymówić chciał tę nędzę swojej głupiej głowy w burzę i w pogodę, we dnie i w nocy nosi ją pod niebem odkrytą, bezbronną, na ludzki śmiech podaną, zorzom i gwiazdom widną i z nich też może biorącą nieraz takie nagłe błyski, takie daleko wstecz i naprzód sięgające światła, o których mądrym w dostatnich baranich czapkach schowanym głowom, ani się śniło.

Głowa «głupiego» ze wsi, to studjum niezmiernie ciekawe. Jest to czasem głowa filozofa, czasem głowa poety, a zawsze głowa Łazarza.

W niej, jak w dziwnym pryzmacie, odbija się cała nędza twardego chłopskiego życia i wszystkie sny jego złote, naiwne, dziecięce niemal. Z tych rysów zagasłych, z tych zwiędłych uśmiechów, z tych zmaconych źrenic, tryska nagle, niespodziane, żywe źródło jakiej praplastowej, gdzieś złotemi żyłami chodzącej wskrós ziemi myśli jakiegoś uczucia, wyblaskującego jutrzennem światłem dnia, a o którym niewiadomo nawet, czy przyjdzie kiedy.

Głowa «głupiego» zarasta najczęściej gęstwą lnianych, wypłowiałych włosów; rzekłbyś, kądziel to rusałczana, z której niewidzialna i samemu «głupiemu» nieznana prządka snuje szarą, niezmiernie długą i splątaną, zagmatwaną nić zadumy nad rzeczami, które niewiedzieć jak do mózgu tego wpadły

i pracują tam bezświadomie a nieutrudzenie, to leżąc ciche i nieporuszone jako w roli ziarno leży siewne, na podziemiu pod skibę rzucone.

Głowa « głupiego », z tą pracującą w niej na własny ład fantazyą, z tem nieuznaniem porządków świata i istnienie poza ich karbami, — to retorta, przez którą myśl przechodzi z pospolitych głów rozsądnych do głowy genialnej.

Lud wiejski, mimo że się z głupiego śmieje, instynktownie przecież otacza go poszanowaniem, za-bobonnem niemal. « Głupi », to u ludu tyleż prawie, co « mądry », mądrzejszy może nawet od innych, tylko w inny sposób, tą mądrością, która nie jest z tego świata.

Czasem « głupi » nie jest głupi, jest tylko nie-szczęśliwy. Wiadomo, « głupich » najwięcej « od rodu », ale i to się znajduje po świecie, że chata komu ze wszystkim do tła zgorzeje, albo mór gniazdo wybierze do ostatniej głowy, albo powódź rolę tak splucze, tak wymuli, jakby jej nie było; to taki nieraz między « głupich » idzie, o nie dbania nijakiego nie ma, niezem głowy nie mitreży, tylko po świecie chodzi sobie luzem, poglądając po ziemi i po niebie, póki go tam śmierć nie ugasi kędy.

To, co indziej jest nerwami, melancholią, zniechęceniem, bluźnierstwem, rozpaczą, — to wszystko jest tu « głupością ».

Czasem « głupi » jest tak głupi, że nawet nie wie o « głupości » swojej. To idyota, to durny. Takiego lud we wzgardzie ma, z bydlęciem go równa. Ale inszy chodzi po gościńcach wiejskich, jak apostoł, jak prorok, jak « opętany aniołem ». Taki głupi ma

w sobie coś żywiołowego. Z ziemią gada, z wodą gada, z wiatrem i z ogniem gada.

Niedołężny, głodny, obdarty, imponuje majestatem bezbronności swojej, swojej nieodpowiedzialności, bezpośredniem zetknięciem z palcem Bożym, który go już ot na taki żywot nazaczył.

Z pod gestwiny lnianych swoich włosów, « głupi » patrzy na świat to szerokiem, obłudnem, daleko poza granice wioski wybiegajacem spojrzeniem, to w bok, to na stronę rzuca owe skośne błyski oczu, pełnych gryzącego szyderstwa, lub smętnej ironii; to wreszcie z głęboką melancholią i bezdennem pożądaniem nicości, wbija w ziemię szklistą, osłupiałą źrenicę, jakby patrzył we własny grób otwarty. Miewa on jeszcze niekiedy żywe, roztargnione, ruchliwe spojrzenia dziecka, któremu od śmiechu do łez tak blisko, jak blizką jest żalność wszelkiego wesela.

Takiem spojrzeniem poglądał w tej chwili głupi Franek na świat boży, idąc brzegiem Narwi. Na wschód, na słońce prawie szedł, głęboko w zroszonych trawach brodząc i uśmiechając się tej błękitnej pogodzie, co w okół dyszała świeżością zaranną.

Patrząc na jego pierś szczupłą, na wązkie, chłopięce biodra, na żywe i składne ruchy, wziąwszy go można za młode pachole; kiedy się wszakże wiatr od rzeki ruszył i czoło mu z owej gestwy lnianych włosów odkrył, ukazywała się na niem żółtość i martwość, głęboko zmarszczkami zbrzydżona, która się przez długie lata wżerać tam musiała.

Już to ogólnem typem głupich jest, że niewiadomo, jakie im dać lata. Czasem wyrostek wygląda jak starzec; czasem stary, stary człowiek ma w sobie młodość niespożytą, zgoła niepodlegającą zwiędnięciu.

O takim mówią, że na niego « Święty Jan porzwał »; jakoż wiadomo jest, że ewangelista ten, orłu przyrównany, orłową też młodość miał, na skalach prorokując, a dziewiczem ciałem chowając się wieczności.

Żyje to sobie i żyje, a lata mimo lecą, ledwo co nieco tykając takiej znaczonej głowy.

Bieda to z głodem trzyma i jakaś skrzydlatość duszna, która temu w żadną przygodę głęboką zabrnąć nie daje, tylko nad owym wartkim żywota pędem górą niesie, tak mało dopuszczając potrzeb, że żaden im brak nie dociska prawie.

Nędzą swoją i « głupością » trzymał się i Franek na świecie. Jak dawno już żył, niewiedzieć; sam sobie lat wyrachować nie umiał. Raz powiadał, że pamięta Francuza, kiedy pod Serock szedł; drugi raz, że sam też dziecięckiem był, kiedy Herod niewiniątka mordować kazał; trzeci raz powiadał, jako się nie rodził wcale, tylko był i był « tak już sam ze siebie. »

Dzieci otwierały gęby, słuchając, baby kiwały głowami, chłopcy się śmiali. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onej ciemnej studni dobyć umiał, że za jego młodych lat też « głupi Franek » po świecie chodził. Może ten, może inszy, na to przysiędz nie przysięgał żaden, ale że był. Wiadomo, każdy czas ma swoich głupich, a takiej nędzoty nikt tu rejestrowo nie trzyma, nawet sam Pan Jezus w niebie.

Żartowały z Franka dziewczęta, że taki « topielczuk » to się nie starzeje, bo go matka codzien roistą rosą myje. I prawda. Tylko że nie topielica

go myła, ale ziemia-matka rosą swoją codzień myła jego nędzną głowę, a i te obłoki niebieskie i te lzy własne. A było ich więcej jeszcze, niż tej rosy bożej.

Lubili Franka ludzie, choć podczas i mrukliwy był i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawil, jakby z karty czytał, jedno do drugiego przykładając, jedno z drugiego ciągnąc. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędys trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawil, tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz go zaczął, choćby łyżkę do gęby niósł, albo w słomie gdzie na wyrkach zagrzebany leżał. Zaraz się zbierał, torbę przez plecy zwieszał, podrywkę na ramię brał i mówił że do «matki» idzie. Kija nie nosił nigdy; powiadał, że pies go żaden nie uszkodzi, bo on Świętego Łazarza patronem ma, o którym wiadomo, że mu psy nogi liżą.

«Od matki» wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły, a koszula i hajdawery strzępami z niego leciały.

Mówią mu ludzie :

— Nie tego matka cię wyprawila we świat...

Na to on :

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i w pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle tratwy nieść... Tera tyle ziemi szmat obejść... Oj, nie letki jej żywot, nie letki! A jeszcze i na ona siną świtkę za-

robić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przedząc...

B.D.I.C

— Oj, głupi, głupi Franek! — mówiły baby.

A on im :

— Oj głupie wy baby, nie ja, kiej nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo!... — obruszyła się któraś. — Dzieciakowi to gadać, żeby rzeka przedła!...

Na to Franek wpadał w złość, w pierś kulakiem tłukł i zaklinał się na godzinę śmierci :

— Żebym tak dobrego skonania nie miał, jeśli lżę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcej, jak na srebrnym wrzecionie modre nici przedzie? « Głupi Franek. » Widzita, jakie mądre! Mądrymi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzecz wrzeciono srebrne ma i przedzie tak że się ino w słonku, albo i po miesiącu migocze... A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne?

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda.

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział.

— Hycel chłop!...

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz tej cichej, niestrudzonej prządki, która strugi sine na prześlicę wije i przedzie nici modre, przedzie w dzień i w nocy, ino jej się wrzeciono jasnym srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec brodząc tam po nich aż do twardej grudy. Niech jenó drzewo co nieco ożyło, niech brzezina pękać zaczęła, niech po błotach czajki wrzały, on zaraz

manatki zbiera, choćby o północy w bór idzie, a powiada, że go «ojciec» woła. Szła wiosna, szło lato, szła jesień, a głupiego Franka ani zajrzeć.

Troszczyć się tam o niego i nie troszczył nikt. Każdy dość własnej biedy ma. Aż dopiero chłopcy, po chrusz saneczkami jadący, spotykali głupiego, jak się do wsi wracał, zbiedzony, zdziczały, czarny, jak ta święta ziemia, żywicami oblepły, igieł sosnowych pełno we włosach mający, bardziej jeszcze obszarpany, niż kiedy, od «matki» wracał.

— A i tak cię to ojciec wypuścił od siebie, jak dziada? — pytają go chłopcy.

A Franek :

— Oj bieda i jemu, serdecznemu, bieda! Bieda i służba ciężka! Mało to on mróweczek wyżywić musi? Mało ptactwa, mało wszelakiego nawietrznego roju? A tera żywice top, a tera grzybom kapelusze funduj, a tera jagodzie każdej wygódź, a tera karczidło i mirę szykuj. Trzej królowie nie pytają tylko dawaj i już! Dobrze to jegomości albo i organście, że do kościoła raz tylko po godach zajrzą; ale po boru całutki rok chodzą, a brodami trzясają, co z nich aż perły na ten mech lecą...

Chłopcy, w śmiech.

— Ooo!... Głupi! Głupi!... Królowie ci ta zarą po boru będą chodzić! Ale!...

A Franek na to :

— Bodajem ręce, nogi połamał, jeslim ich na własne oczy nie widział! Bodajem się tu z miejsca pod ziemię przepadł! Cóż to? Wódkę piję, tuman na oczach mam, żeby mi się w nich troiło?

Tu chłop jeden albo drugi do niego :

— I widziałeś króla?

A insi :

— Co będziesz z głupim gadał!

Ale Franek nie dał sobie odebrać słowa :

— Com nie miał widzieć? Bo to raz widziałem? Króla Balcera tom ta widział przed sobą, jak was, gospodarzu, widzę. Patrzą raz, słońko zachodzi, a tu cości ogromnego we złocie stoi. Myślę, dąb nie dąb. Podejdę, spojrzę — król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się jako ten mech siwy; jedną ręką w bok się podparł, w drugiej berlica godna; parada taka, co strach, zwyczajnie, królewska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia, te piki, te lance, te różne bronie, dwór okrutnie wielki, siła i moc taka, że nieprzeliczona. Aż mi się świat zaćmił, jakem to obaczył.

Nie długo słucham, szepeją... Ten temu, ten owe-mu słówko po słówku oddaje, jeden do drugiego głowy nachyla, a zmawia się, a radzi... Oho! myślę ja sobie, będzie tu co nowego. Nic. Słońko zaszło, ono wojsko się między drzewa pochowało, król też; układałem się, śpię. Śpię ja sobie, świata bożego nie wiedzący, aż tu jak nie zahuczy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zacznie się tłuk po onym boru, jak nie zacznie szumieć!...

— Niby co? — pyta chłop Franka.

— A cóżby, jak nie to wojsko! Dopierom zmiarkował że się to tak z wieczora zmawiali na oną bataliję... To tak, powiadam wam, się bili, jakby naj-

teższy wichur przeciw wichru szedł; a tak strzelali, jakby pioruny były; a te bronie to taki puszczały blask po boru, jak te najteższe błyskawice. A co strzelą, to w ogniu, onym widzę, król Balcer stoi w płaszczu ze szczerego złota, w złotej koronie na głowie i brodą trzęsie...

— Baj baj! wichura była w boru i tyła! — rzecze chłop.

— A ino! — powtarza drugi.

— Wojskoby to w boru siedziało!... dodaje inny.

— Świecie! świecie! — woła na to Franek, uderzając w dłonie. — To wy grunty macie, chałupy macie, gospodarzami się opisujecie po wójtach, po urzędach, a tego nie wiecie, że Trzejkrólowie wojsko w boru je?

Oj naród, naród!... A kiejże wy z tej ciemnoty na świat przejrzyta, kiej?... Już i Pan Jezus po światu chodził i apostoły chodziły, a wy nie. Jak te owce głupie!

I wodził po nich okiem pełnem zdumienia, żałości i gniewu, jak po barbarzyńcach, którychby nawrócić pragnął.

Chłopi się śmieli.

— Dzita!...

— Dzisz go!...

— Na głupich my u głupiego wyszli!

Ale pacholeta, co tam w podpasanych rzemieniami sukmanach za ojcami biegły u chrustu pomagać, szeroko otwierały oczy, a szerzej jeszcze usta i patrzyły w «głupiego», jak w tęczę. A kiedy przyszła wiosna i pierwszy grzmot zahuczał na bór czarny jeszcze, śniły się chłopiętom okrutne wojska Trzy-

królowe, ich wielkie błyskawicowe miecze i król Balcer w złotym płaszczu i w złotej koronie i nie-jeden tam wyrostek ukradkiem z za węgla ku lasowi spoglądał, bo juści prawda, że się łomotali ognisście, jakoby wicher przeciw wichru szedł...

Czasem wszelako, ot tak z «dobra woli», nagle tęskność do ludzi ogarniała Franka. Rzucił wtedy «ojca» i «matkę» i jak ot teraz, szedł, gdzie go oczy niosły, niewiedzieć naco i poco. A tak się w tych drogach śpieszył, jakby kto najpilniej go czekał, albo mu jakowe wielkie dobro obiecał. Wiosną szczególnie, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo plugiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby pogarbiły pola, kiedy od wyгона do wyгона rozległo się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po koleśnych drogach, Franek rady dać sobie nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi. Gdzie wiatr wiał, gdzie słońce było, gdzie głos ludzki leciał, gdzie mgła się kładła, gdzie oczy niosły, tam się puszczał.

To lada miętusem, w rowie uchwyconym i na patyku upieczonym żyjąc, po miedzach, wskrós onych rozorów chodził, głęboko dysząc, jako by się ową wilgocią i świeżością skrzepić chciał; a przyszła noc, to na byle grudce nędzną głowę sparszy, między zagonami legał, a po gwieździstem niebie cichemi oczyma wodził, do samego północka drugi raz nie zasypiając, jakoby mu kto co powiadał właśnie, albo widowisko i cudo jakie przed nim czynił. Budził się po nocy takiej, zroszony, jak ten kamień polny na

miedzy siadał, kolana rękami obejmował i, zadarłszy głowę, patrzył jak wrona w słońce, póki go nie obsuszyło, ustami niemo ruszał, jakoby się z kim wysoko rozmawiał, albo temu błękitowi porannemu modlił. Napierał się nieraz chłopom do pluga, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. « Głupi » się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która dała mu tam w ogrodzie motyką podziubać, to jej dziękował, tak jej kolana obejmował, jakby mu kto miskę z najlepszym jadem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał. Szły deszcze ciepłe, bujne, to im się jako ta wierzba uginał, nie się nie chroniąc, by też mókł; a tak się zapamiętywał onego perłowego, rżęsnego szmeru po młodej runi słuchając, że drugiby i gęśli mniej słuchał, kiedyby mu grały. Szła polem cisza szeroka, okólna; gaje nie wioną sobą, liść młody ledwie gdzie szepnie, nad ziemią skrzydłatość taka, taka lekkość, przejrzyistość, że tylko te miedze za miedzami, łąki za łąkami powietrzem w oczach płyną, a Franek na wpośrodku łanu jak urzeczony staje i słucha, jakoby głosy do niego z ciszy onej mówiły, albo jakby gdzie na Aniol Pański dzwon bił.

— A i czego ty tak głupi słuchasz? — pytają go pastuchy, co się tam workami od chłodu naodziawszy, pod gruszą w «sitka» grali.

To im zrazu nie odrzeknie, jak by nie do niego.

Aż kiedy mu się uprzykrzą, raz i drugi pytając.

— A nie słyszycie to smyki — mówi — jak ziemia gada?

— Jakże to — pytają pastuchy, a w kułak się śmieją, że to im niby z głupiego uciecha. — To ziemia gada?

A Franek ręką po powietrzu wodzi, jakoby co pokazywał w wielkiem oddaleniu, na gęsiarków owych nie patrzy, tylko oczy na owej błękitności trzyma.

— Wszyściusko co je i co było i co jeszcze za czasami będzie, wszyściusko to wie ogień, wiater i ta ziemia. Ale że ziemia najmądrzejsza z tych trojga...

Sitka! — woła cienkim głosikiem mały gęsiarek, rzuciwszy w górę miedziaka.

— Orzeł! — woła drugi.

Franek mówi dalej:

— Bo wiatr i ogień z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co ziemia od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.

Po dzieciach idzie dreszcz. Pastuch zatrzymuje w powietrzu rękę, w której miedziaka trząsał, żeby mu na orła nie padł, i z przelotnym strachem na Franka patrzy. Inni także podnoszą głowy.

— A co powiada? — pyta Józek.

Franek oczyma po dzieciach wodzi, a potem nagle utkwivszy wzrok bystry w zapatrzonym na niego gęsiarku, mówi silnym głosem:

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziółw niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, zwolnienie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek — amen!

Najstarszy Michałek wybucha na to śmiechem, strach mija, pastuchy śmieją się głośno, hucznie. Jeden tylko Józek siedzi pod workiem swoim z sze-

roko otwartemi oczami i patrzy za Frankiem, idącym ku Bugajowej łące.

— Głupi! głupi! głupi! — wrzeszczą za nim chłopcy, jak wronięta.

— A wróć się, głupi, wróć! — krzyczy Michałek — zrobimy cię wójtem, kiejżeś taki mądry!...

Franek idzie dalej, ni prędzej, ni wolniej, jakby nie do niego.

Wie on, że młodzi i starzy, ba pastuchy nawet, wołają na niego «ty». Głupiemu nikt nie «dwoi».

«My» — to cząstka gromady, albo rodu, albo zbiorowego rozumu i mienia, to cząstka zbiorowego życia i zbiorowej siły. Ale «głupi» poza granicą rodu, mienia, pracy i siły. Od tego też jest głupi, żeby rozumu nie miał. On do siwego włosa, do grobowej deski w małoletności swojej trwa, rośnie najpierw, rośnie niby ta witka łoziny, potem się pochyla, pochyla, niby ten badył płonny, ale nie dojrzewa nigdy.

Nie ma on też sobie za krzywdę żadnego przewiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich, oto i teraz, z wesołym okiem, z tęsknością jakąś, z przyjacielstwem w duszy. Owszem spieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Spieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Nie innego przecie w rękę nie miał, tylko chaszczów trochę zielonych i marnego zielska, wskrós którego i świeci kaczeniec żółty, lśniący i srebrzą się gałązki wierzbowe z nawpół roztulonemi baškami, które «głupi» po drodze łamie, iż to ku palmowej

niedzieli się ma za dzionek czy za dwa. W powie-
trzu już nawet tu owdzie zalatują jałowcowe dymy,
przy których gospodynie obwędzają kawał kielbasy,
albo boczek z wieprza.

Z lubością wciąga Franek owe aromaty, a śnia-
dą twarz jego rozjaśnia coraz szerszy uśmiech.

Naraz spochmurniał. Z pośród lekkich wieszają-
cych się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać
obielone, długim sznurem wyciągnięte domki, któ-
rych niezwykła schludność, jako też i sposób budo-
wania, zdradzały osadę niemiecką.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące
Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją na-
zwą położonym po drugiej stronie Narwi Gajom-La-
chom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem
swoich mieszkańców.

Franek nienawidził Niemców. Flisów nawet na
rzece unikał dlatego, że w skarbówce na tratwie
najczęściej Niemiec siedzi.

Nieraz też, stanąwszy na gościńcu, wołał:

— Uciekajta dzieci, miemiec idzie!

— A czegoż-to uciekać przed miemcem? — py-
ta go chłop który.

— A bo przed miemcem, jak przed złym wiatrem
niema lepszej rady, ino uciekanie.

— Miemiec a śmiedź — powiadał, — zarówno
naszemu chlebowi przywarę czynią; ale że go śmiedź
nie tyle uszkodzi.

Spotyka go raz proboszcz.

— Cóż ty głupi? — pyta. — Drwisz, słyszę,
bajki prawisz, że to nie żydy umęczyły Pana Jezusa,
tylko Niemcy. Skądże to ty do takich rzeczy przy-
chodzisz?

A Franek pilnie na księdza patrzy, a oczyma, mruga, co zwykle czynił, kiedy go co niecierpliwiło.

Proboszcz odsapnął, bo tuszę miał piękną i męczył się mówieniem łatwo, a potem rzekł:

— To ci zapowiadam, żebyś mi takich bajek po wsiach nie puszczał! Rozumiesz? A na naukę do kościoła przychodź, żebyś nie żył jak to bydlę... Rozumiesz? Kto jak bydlę żyje, ten jak bydlę skończy... Rozumiesz?...

Franek uśmiechnął się, rzucił w bok skośne spojrzenie i pocałował księdza w rękę, rzekł:

— Niech się ta jegomościulek nie frasuja o głupiego! O głupim to ta sam Pan Bóg przenajświęszty radzi... Tyła, coby tych mądrych nauczać, o!... A głupi to ta sobie sam z Panem Jezusem o tem, o owem gada, to już ta o niego najmniejszy kłopot... Będzie on wiedział, która dróżka do rajy...

Rzucił ramionami ksiądz i obejrzał się, czy tej głupiej mowy kto nie słyszy; bo o parafian swoich dbał i zgorszenia żadnego nie dopuszczał. Ale co prawda, to i gniewać się bardzo nie mógł, bo cóż tam głupi mądrego wymyśli? Takiemu odpuścić trzeba, boć to samo nie wie, co czyni.

Zaczuwszy tedy Franek owe szwabskie dymy, skręcił w bok nagle i tarniakem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Karczowany rok rocznie przez Niemców, tarniak uparcie się gniazd swoich starodawnych trzymał i każdej wiosny ostre kły wypuszczał, grożąc stopie, co się tam ważyła bosa, a wzmagając się aż do gruady, kiedy go znów trzebić zaczęło. Ostrężyną też i kocierpą silnie zarastał, tak że się o każdy krok targać z niemi było potrzeba.

Darł się Franek środkiem onych chaszczów, jak dzik, spluwając tylko na strony z tego obrzydzenia, jakie miał do Niemców, o których powiadał, że kiedy ich dyabeł na widłach przenosił z ich tam kraju nad Narew, to po każdym Niemcu widły plukać musiał, aż wielka moc ryb wyzdychała z tego.

Zanim tedy wydobył się z tarniaka, pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce, a niejedna przygarść jego lnianych włosów została na gestych głogach i targańcach.

Tak kiedy wóz z sianem w gąszcz leśny się wprze, tu owdzie za nim na krzaczach chwieją się żdzbla suche, które jako myto po drodze płacić musi zaczeptnikom onym. Ale «głupi» ani dbał o to, wielkimi krokami prac się naprzód, póki osady budowanej długim sznurem nie wyminał i nie zostawił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną pierśią tchnął, pojaśniał na twarzy i wesołym spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz też ku rzece skrećiwszy, w mialki bród jej wstąpił i nogi «po niemcach» obmył, jak ów dyabeł widły.

Szedł teraz wolniej, zadzierając głowę do słońca, jak to czynią dzieci i ptaki. Ale nie szczęściło mu się w tej drodze.

Zaledwie minął bagnistą łączkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Os-mólki nosi, kiedy spostrzegł kościstą szkape starego Hamera, jak zdążała ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce z podwiązanymi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdliło Franka na takie spotkanie. Chciał w bok, kiedy

zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociólek żelazny, co go też z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej Inu siwego płachtę tak wypchaną, żeby go dwie dobre prądki przez zimę nie sprzedały, wreszcie okrutną kłodę kapusty, która się tylko na strony chwiała w wązkich drążkach, a za nią, z przewieszonym łbem za rozworę i spletanymi powrózkiem nogami kwieciane ciele, które się uległo sześć niedziel temu, właśnie kiedy ostatni raz nockę u Łuków nocował.

«Głupi» stanął i wytrzeszczył oczy, i ostupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczył około serca jakowąś ekliwość.

Wóz przeciągał mimo niego zwolna. Stary Hammer, trzymając fajkę w ręku, przy drabkach szedł i pieniądze wysypane z brudnego mieszka na dłoń liczył. Franka nie widział nawet może. Ten wszakże po dobytku owym, na wozie zabranym, pałającym wzrokiem wodził, szepejąc cicho:

— Patrzejta, co ta moc niemiecka dobra ludziom odjęła i ku sobie ciągnie...

I z największem przerażeniem w ostupiałych oczach, nędzną głową trząsł, jakoby na widok spuszczenia od pożaru albo powodzi.

Dopiero kiedy ciele, z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle beknęło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żałość, taki ogień mściwy go przeniknął, że porwawszy się z onego ostupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi,

do wsi wpadł, prosto przed chałupę Łuki, która kraju stała. Rojno tu było jakby na jarmarku. Gasio, niewielki żółty pokurecz, z ostrym jak u lisa pyskiem i spiczastemi uszami, nie wiedział na kogo wpierw szczekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, na wznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na oglądającego ladę u sieczkarni Niemca, który sam do siebie mamrotał a fajkę w zębach trzymał; czy na baby, które się z dziećmi u spódnicy i u piersi zeszły, a stanawszy u płotu, radziły; czy na dziewczkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na siemieniatkę, która mu się z rąk wyrwawszy, z wrzaskiem uciekała; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu za Niemcami z Olendrów zbiegły, wielkie, silne, kudłate i milczkiem weszące...

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakiernik, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, suchożyły i silnej budowy, trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach od rajtuzów, najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tombakową dewizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu. Chłop coraz głośniejszym krzykiem, a

szamocąc się z byśkiem, jeden róg bydlęcia puścił i przez połę kamizeli rękę Niemcowi podawał; Niemiec gębę odął, powieki w pół zasunął, brwi podniósł, i nie wyjmując rąk z hajdawerów, przecząco grubym karkiem kręcił; kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały «głupiego». Ze świeżą tedy ciekawością rzuciły się ku niemu; a przytem wyglądał dzisiaj tak ucieszenie, tyle różnego zielska miał we włosach, taki był obszarpany, zziąjany, brudny.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesole szczekanie pokurcza. On także zdawał się wołać: Głupi! głupi! głupi!

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopca za rękaw szarpnął, i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu! Łuko! Łukaszu! A to wam miemiec psia wiara skrzynię porwał i cielę... złodziejska dusza... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwytał.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Chłop odwrócił się nagle.

— A ciszej, kołtuny! — tupnął na dzieci — pójdziesz!... — krzyknął na Gasia, który oblatywał byśką, szczekając i za nogi go łapiąc, jakby się zapamiętał właśnie.

Franek chłopca za rękaw precz targął.

— Gospodarzu! Łuko!... — zaczął znów swoje.
— A to złodziej...

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali

niemał tuż przy studni, a głupiemu niewiadomo, co do łba strzelić może.

— Idź głupi! — oburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kulak, w pierś zakłęśłą się grzmotnął i wielkim głosem zaklął:

— Bogdajzem się z tego miejsca nie ruszył, i bogdajem nocy nie doczekał, żeli lżę, żelim go u Osmółki z wozem nie widział, złodzieja, a na wozie waszej skrzyni, kłody i cielaka! Bogdajem.

— Wściorności! — wybuchnął nagle niewiadomo na byśka, czyli też na Franka. Baby zaczęły się przysuwać od płota, ten i ów obrócił ku mówiącemu głowę. Franek szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy w Łukę wbił, nie pojmując zgoła, dlaczego chłop wszystkiego nie ciska i złodzieja gonić nie leci. Zdawało mu się, że go nie rozumie chyba, nie wierzy mu. Z większą tedy jeszcze siłą grzmotnął się kulakiem w pierś.

— Porwał gospodarzu!... Porwał!... Żeby tak szczęśliwego skonania doczekał, jak złodziej mieciec porwał!...

Gotlib odwrócił głowę, splunął, i znów się o krok cofnął.

Na chłopca uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam sprzedałem!

Otrząsnął się. Frankowi ręka opadła.

— Głupi! głupi! głupi!... — wołały dzieci, skacząc około studni.

Franek patrzył na chłopca obłędnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartymi

i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochrypłym, zmienionym :

— Wy, gospodarzu?... Wy jemu przedali? Wy sami przedali?...

Psssia... cie! — zaklął chłop, mocując się z byskiem.

Franek go znów za rękaw pochwycił. Dyszał ciężko, oczy wysiadły mu na wierzch.

— Gadajta!... Gadajta!... Samiśta przedali? Gadajta!

Następował na chłopą, targając go za rękaw coraz gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry! — huknął Łuka. — A żebyś ty zmarniał! Chorobna duszo... — Zaklął w tejsze chwili na wyrrywającego sie byśka.

— A dummer Kerl!... — szepnął wzgardliwie Gotlib i ramionami rzucił.

— Co to z głupim gadać — roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec Niemca mądrą i polityczną okazać chciała. Nie były zresztą pewne, czy im samym przedawać co nie przyjdzie; ruszały tedy ramionami, poglądając z politowaniem i odwracając głowy.

W tej chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kozuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko, i Niemcom, załującym, i czasu i koni, z Olendrów się najał. Chłop czerwony był jak burak, zsiadły, ospowaty, baranią czapkę ze stroikiem z czoła zsunął, bo ze trzy litkupy miał we łbie i kurzyło mu się z czupryny, a język co nieco płatał. Bodniak, jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość ja-

kąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrosnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy rozkraczywszy się przed Frankiem, ręce w biodra wparł i niebardzo pewnie na nogach stojąc, rzekł:

— A i nie wiesz to głupi, co teraz chłopcy, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny i też ze ziemi...

Chwyciła go czkawka, więc urwał.

Franek słuchał jakby, ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz, — ciągnął Bodniak — a idą głupi za morze.

— Za morze... — powtórzył Franek.

— Choć ta i suchoputna droga ponoć je, o trzy dni by nią człowiek ze Zagajnego zajechał... tyła, co o niej nie wiedzą...

— Nie wiedzą — powtórzył martwym głosem Franek.

— To ci tera het precz, licytacja... — mówił Bodniak, przelykając dręczącą go czkawkę — targowica... nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę, czarniawym włosem zarostą, grubemi żyłami zbrudzoną, i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórzu. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku, i Niemca przy sieczkarni i Fryca z kokoszką w rękę, i baby, i obce psy kudłate i byśka, i grubego Gotliba.

Wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych, zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Wyglądał tak śmiesznie, że dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi. Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie sprzedajta, gospodarzu, pola!... Dlaboga, nie sprzedajta!... Dlaboga rety, Maryo!...

Zaniósł się wielkim płaczem, i chwycił połę siermięgi gospodarza.

Chłop trzął sobą, chcąc się uwolnić od niego i kłął siarczyście.

— Nastąp pokrako!... Chorobna dusza!... A żeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsało jego nędzną pierśią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem. — Gospodyni!... Nie sprzedawajta miemcom chałupy! Dlaboga, rety! nie sprzedawajta chałupy!...

— Do cna ogłupiało chłopisko! — szeptały między sobą baby.

— Bo to nic?

— Na zwiosnę takiemu najgorzej...

— A odczepże się, odmieńcze! — krzyczała kobieta. — Owaryował, czy co! Adyc go weźta! — Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał się i wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się, łachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryo!... Rety!... Ludzie!... Gospodarze!... Nie sprzedawajta się miemcom!... Dlaboga ludzie!... Nie sprzedawajta!...

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trzął przed

głupią swoją głową, a po śniadanej twarzy leciały mu łzy, ciężkie, jasne, gorące.

— A dummer Kerl! — powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasją zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawily się zbyt dobrze całą tą «komedją» żeby się ruszać miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie, i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Dalej, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie i będzie zgoda z nami! Ja dziś do zgody, jak do wódki! U mnie tak! Dzień płaci... dzień traci. Dalej panie Gotlib!... Zgoda!...

Mówił szybko, obficie, głośno, jakby chciał zagadać głupią mowę Franka.

Niemiec odchodził niby. Nie mógł on właściwie odejść, póki Bodniak stał, a z nim i furka jego, z której zwrócona łbem do dyszla szkapa wyciągała grubą, w bagnach sieczoną trawę Bodniakowi zaś nie spieszyło się wcale ze szwagrowego podwórka.

— No?... półzłotka! Jakże będzie? — powtarzał Łuka. — Kupujta, póki sprzedaje!... No?... Jakże?... Co ta będzieta na głupiego patrzeć! Róbmą zgodę... Dalej go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce z wysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagle wesołość. Ja-

koby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem wytarł, jak miał szeroką gębę, tak się szeroko roześmiał, a chwyciwszy chłopakowi, co tam w podle stał, czapczątka ze łba, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesolo:

— Hej ha!... Kiej przedawać, to przedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, popprzedamy het przecz wszyściutko do czysta!

Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Niemcy nawet śmiać się zaczęli, zwłaszcza też one rude wyrostki Gotlibowe, u wózka stojące. Łuka poczerwieniał i łypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spojrział na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały różne sprzęty, z drogi onej szafie ruszone, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek się schylił, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Panie miemiec! Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba dobył, ale nam tera nie po nim, bo het przecz grunt i gospodarke przedajem, i ani my, ani dzieci po nas ziemi tej, tego pola, orać już nie bedziem! Kupujta, lemiesz!... Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią, wołał:

— Hej!... Płachtę przedaje!... Patrzajta, co

za płachta je!... Caluška, bieluşka, na oltarzu by ją można kłaść pod ten chleb janielski! Oj bywał ci w niej chleb janielski, bywał, ano to ziarno Boże pszeniczne a żytnie, co je gospodarz na tem polu siewał... Oj niemało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Dalej, kupujta, płachtę siewną, w krucheie, w dzień Najświętszej Paniienki Siewnej poświęcaną.

I teraz śmiech buchnął, ale cichszy jakiś. Luczy-na westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jej fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni! — zawołał nagle Franek.

— A gdzie prześlica? Przedaliście len, sprzedajta i prześlicę. Już wy na niej kądzieli przadać nie będziecie, ani onej nici szarej na wrzecionie przy luczynie puszczać... Nie będziecie przędzy motać, parników zwijać, pasem rachować... Nie będziecie plótkać, ani go na tej rosie porannej bielić, ani z niego oszul dzieciom zrządać... Co wam po tem? Dalej gospodyni! Dalej... Dawajta prześlicę... Niech kupujta!

W małym podwórku Łuki robiło się coraz dziwniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na «głupiego» patrzeć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle odezwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O... bocian!...

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą Łukowej stodołki i nad leżącą na niej, zeszlorocznym szuwarem jeszcze przy-

rzesioną, broną, wzbijał się lotem szerokim pierwszy tej wiosny bocian.

— Bociek!...

— Wojtek!...

— Bocian!... — zaczęły wołać na różne głosy hłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekotał wesoło, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie...

— Siądzie!... — odzywały się dziewczęce głosy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od «głupiego». Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał się szyderczo, wzgardliwie.

Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptaku! — rzekł wreszcie, — A i czegożeś tu leciał bez morze, bez wielkie, na gniazdach noclegujący, na zorzach się budzący, głodu zażywający, nawałności i wojen powietrznych i przestרחów różnych bynajmniej się nie bojący?... Czegożeś tu do Zagajnego leciał, jakoby ci też kto ślepią wybrał, drogi [nie myśląc, skrzydłom nie folgując, a onego wiatru wschodowego, od Narwi wiejącego, o Zagajnem pytając.

Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swe hodował i słońcu się radował i ludzi cieszył i odpocznienie swoje miał.

Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie... jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... Miemce tu obsiadą, niemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi precz... za morze... za morze...

Podniósł głos, oczy chłopów się na niego zwróciły.

B.D.I.C.

— Panie Gottlib! — zawołał — panie miemieć, bliżej tu sam, bliżej!... Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie!

Widzita te jaskółki nad wodą? Widzita tę mądrość niebieską?... Widzita ten krzyż nade drogą?... Widzita het one górki, one mogiłki nasze?

Dalej! Wszyściutko sprzedajem! Kupujta tę mądrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki!

Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potem, nad ową kupą domowizny przed chatą klękawszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty, Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy, jako wiatr wiosenny. Chłopi głowy odkryli, baby pokłękaly, a Franek mówił dalej:

... Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!

... Od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie!

... Od morskiej i wszelakiej nawałności, zachowaj nas, Panie!

... O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię, Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł i między ludźmi przeszedłszy, ku rzece się puścił.



Marja KONOPNICKA

HASŁO

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy.
My polski naród, polski lud,
Królewski szczep Piastowy.

Nie damy, by nas zniemczył wróg :

Tak nam dopomóż Bóg !

Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha.

Nam twierdzą będzie pkaży próg :

Tak nam dopomóż Bóg !

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,

Ni dzieci nam germanił ;

Wstanie orężny hufiec nasz,

Duch będzie nam hetmanił,

W ten dzień, gdy zabrzmiał złoty róg :

Tak nam dopomóż Bóg !

Le Gérant : WAGNER



Drukarnia I. Rirachowskiego, 50, Bd Saint-Jacques — Paris.

